

Czy nauka potrzebuje prawa autorskiego

Proces wydawniczy wielu publikacji naukowych wygląda następująco. Naukowiec opracowuje wyniki własnych badań w postaci np. artykułu. Artykuł jest przekazywany wydawcy, który oddaje go do recenzji, a po jej pozytywnym wyniku publikuje, za co autor płaci wydawnictwu. Poza opłatą wydawca często wymaga także przeniesienia autorskich praw majątkowych. Następnie wydawca sprzedaje wydrukowane egzemplarze utworu. W związku z naukowym charakterem dzieła nabywcami są w większości biblioteki i jednostki naukowe. Istnieją oczywiście przypadki, gdy w ogóle nie dochodzi do sprzedaży, a wszystkie egzemplarze są rozdawane. Często publikacje wychodzą w tak małych nakładach, które rozchodzą się pomiędzy znajomymi autora, że ogólna dostępność takiej publikacji jest bardzo niska.

Publikowanie ma umożliwić autorom pochwalenie się swoimi wynikami i uzyskanie komentarzy od innych naukowców, co z kolei umożliwia dalszy rozwój nauki. Przyjmując mniej idealistyczne podejście, publikowanie jest po prostu wymagane przez pracodawcę naukowca dla kontynuacji zatrudnienia. Niewątpliwie w przypadku publikacji o niskich nakładach możemy mówić wyłącznie o formalnym spełnieniu wymogu budowania dorobku. Nie ma tu mowy o zwiększeniu realnej rozpoznawalności autora i znajomości wytworzonej przez niego wiedzy wśród innych naukowców. Nie przyczynia się to do rozwoju nauki. Natomiast tam, gdzie większy nakład istotnie trafia do naukowców za pośrednictwem jednostek naukowych i bibliotek, warto uświadomić sobie, za jaką cenę.



ARCHIWUM PRYWATNE

KRZYSZTOF SIEWICZ

O korzyściach, jakie dla całej nauki przyniosłby szeroki, otwarty dostęp do publikacji naukowych – pisze prawnik.

Otóż badania naukowe są zazwyczaj finansowane z publicznych pieniędzy. W skład tego finansowania wchodzi kwota opłaty dla wydawcy. Wydrukowane przez niego egzemplarze są następnie nabywane przez biblioteki i jednostki naukowe, zazwyczaj również z publicznych pieniędzy. Dla wydawcy jest to bardzo dobra sytuacja, gdyż ponosi on jedynie minimalne ryzyko inwestycyjne. Opłaty od autorów oraz bibliotek i jednostek naukowych nie tylko pokrywają koszty, ale też są poważną gwarancją zarobku. Pochodzą przecież z pewnego źródła – strumienia środków publicznych. Natomiast podatnik płaci dwa razy za to samo, a za tę cenę nie kupuje tego, co dla dużej części społeczeństwa jest obecnie oczywistością – nieograniczonego dostępu do publikacji w postaci cyfrowej w Internecie (Open Access).

Bez wyłączności

Otwarty dostęp oznacza jednak rezygnację z wyłączności gwarantowanej przez prawo autorskie. W opisanym wyżej modelu autor rezygnuje z niej i tak, przenosząc swoje prawa na wydawcę (mowa oczywiście o prawach majątkowych, gdyż praw osobistych, takich jak prawo do autorstwa, nikt nie może na szczęście autorowi odebrać). Przy wdrażaniu

otwartego dostępu chodzi zatem o to, aby z tej wyłączności zrezygnowali wydawcy, aby w ten czy w inny sposób publikacje naukowe znalazły się w Internecie na wolnej licencji. W modelu, dla którego prawo autorskie zostało faktycznie stworzone, wyłączność ma pozwolić uprawnionemu zarabiać na utworze, zachęcając go tym samym do dalszego tworzenia. Natomiast w opisanym tu modelu trudno mówić o realizacji tego celu w odniesieniu do autora, gdyż nie tylko nie uzyskuje on wynagrodzenia, ale wręcz płaci za wydanie jego utworu. Ale i byt wydawcy nie jest tu zabezpieczony poprzez prawno-autorską wyłączność. Zależy on przecież raczej od istnienia strumienia dotacji dla naukowców, bibliotek i instytucji naukowych. Rezygnacja z wyłączności nie jest tożsama z zablokowaniem tego strumienia.

Wobec powyższego wskazane wyżej cele publikowania w nauce mogą być z powodzeniem realizowane, być może z większą nawet efektywnością, bez konieczności zapewnienia komukolwiek wyłączności na korzystanie z publikacji naukowych. Dla ich realizacji wystarczające są autorskie prawa osobiste pozwalające twórce oczekiwać, że efekty jego pracy nie zostaną przypisane innej osobie ani przeinaczone. Zasadny jest wobec tego postulat, aby publiczne finansowanie działalności

naukowej było udzielane m.in. w zamian za powstrzymanie się od korzystania z wyłączności wynikającej z autorskich praw majątkowych (poprzez wolne licencje) oraz za umieszczenie tak finansowanych publikacji naukowych w Internecie do nieodpłatnego ponownego wykorzystania.

Wartość dodana

Nie oznacza to jednak rezygnacji z wydawców jako pośredników pomiędzy naukowcami-autorami a naukowcami-czytelnikami (którzy są również autorami). Ściśle rzecz ujmując, w obecnym modelu wydawcy wnoszą istotną wartość dodaną w postaci usług takich jak recenzja, korekta i skład publikacji naukowych, a także ich dystrybucja. Ma to istotny wpływ na cytowalność, które powszechnie uważa się za potwierdzenie naukowej wartości pracy. Za dorobek naukowy uznaje się zatem publikacje wydane przez czasopisma o odpowiednim poziomie cytowalności, a co najmniej publikacje recenzowane. Autor może oczywiście samodzielnie dążyć do zapewnienia recenzji i cytowalności swoich publikacji, ale usługi świadczone w tym zakresie przez wydawców są na pewno istotną pomocą.

Żadna z tych usług nie zależy jednak od istnienia wyłączności wynika-

jącej z prawa autorskiego. Logika podpowiada, że każdy działający według rachunku ekonomicznego wydawca wlicza ich koszt do opłaty ponoszonej przez autora. Nie ma zatem powodu, dla którego usługi te nie miałyby być wykonywane w sytuacji, w której publicznemu finansowaniu towarzyszyłby obowiązek nieodpłatnego udostępnienia publikacji w Internecie i umożliwienia jak najszerzego ponownego wykorzystania. Jeżeli nawet koszt tych usług finansowany jest przez wydawców także z opłat od bibliotek i jednostek naukowych, których nie byłoby po wprowadzeniu postulowanej zmiany, to dla ich utrzymania wystarczyłoby po prostu odpowiednie zwiększenie opłaty od autora. Innymi słowy, publiczne pieniądze trafiałyby do wydawcy nie w dwóch, ale w jednej transzy.

Przedstawiona tu propozycja dotyczy publikacji finansowanych wyłącznie lub w przeważającym stopniu z publicznych środków. W odniesieniu do dziedzin nauki, gdzie taki model jest dominujący, istnieją prawdopodobnie obszary, gdzie rezygnacja z wyłączności i wprowadzenie obowiązku nieodpłatnej publikacji w Internecie nie zwiększyłyby ogólnych kosztów dla budżetu państwa. Istnieją zapewne także i takie obszary nauki, gdzie koszty te by spadły (oszczędność w kosztach druku). Tam, gdzie koszty te wzrosłyby, należy mimo wszystko rozważyć powyższe postulaty, porównując koszty z korzyściami, jakie dla całej nauki przyniosłby szeroki, otwarty dostęp do publikacji naukowych. ■

Dr Krzysztof Siewicz, pracownik ICM UW,
of counsel GWW LEGAL